Kanada Arkadego Fiedlera

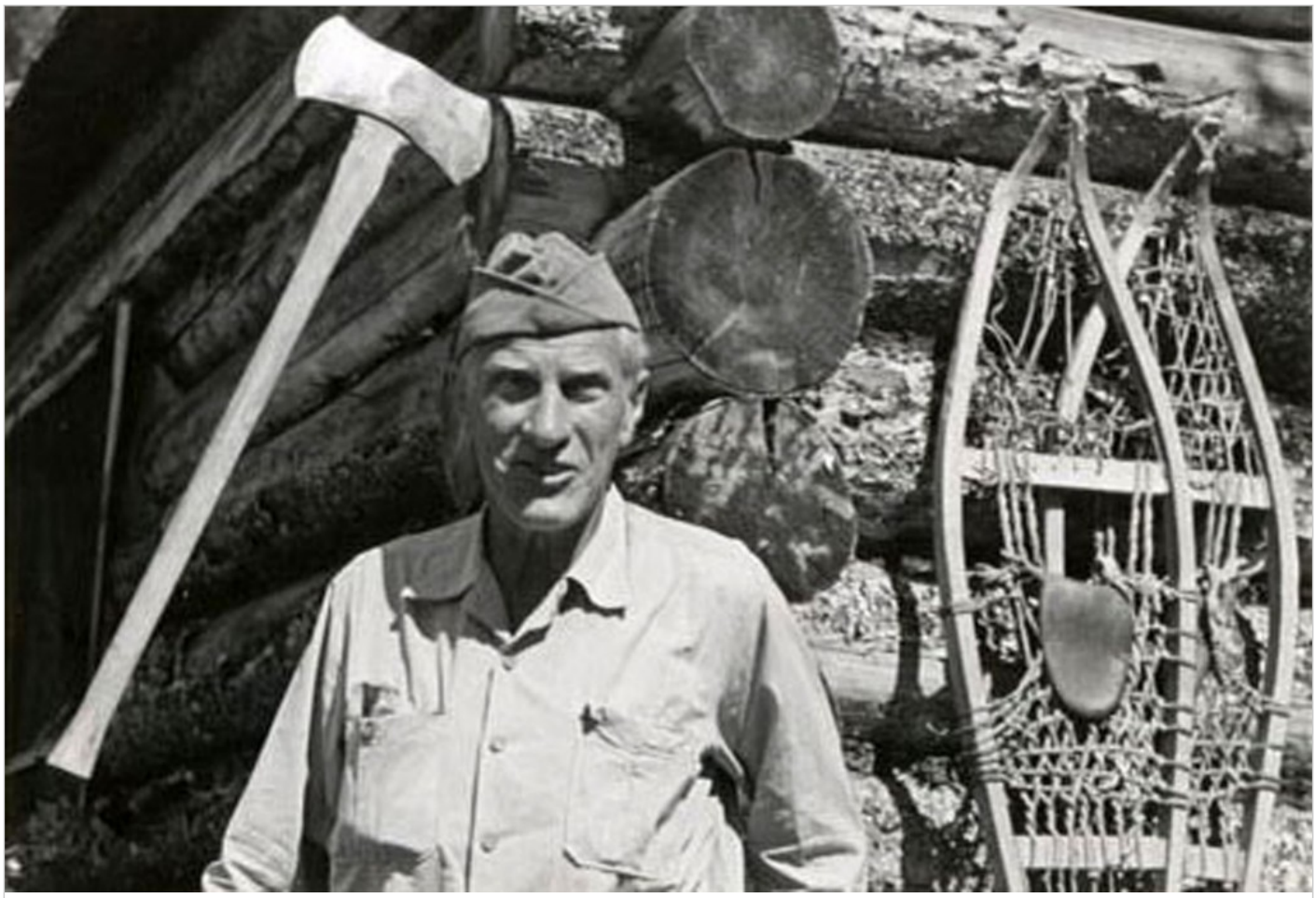

Arkady Fiedler w Kanadzie, fot. Muzeum Arkadego Fiedlera w Puszczykowie

Mieszkając w Kanadzie rozmawiałam z wieloma osobami, które wybrały Kanadę na swój nowy dom pod wpływem książki Arkadego Fiedlera „Kanada pachnąca żywicą”. Jedni byli szczęśliwi, z powodu tej decyzji, a inni rozczarowani. Pamiętam rozmowę z nieżyjącym już artystą – Wilkiem Markiewiczem. Mieszkał w Europie i tak się jego losy życiowe ułożyły, że chciał tę Europę opuścić. Wszystkie kraje wchodziły w grę. Wtedy przypomniał sobie czytaną dawno książkę Arkadego Fiedlera i sięgnął po nią ponownie. Fantastyczne opisy przyrody przeważyły i wyemigrował do Kanady. Rozczarowany wspominał, że Kanada wcale nie pachniała żywicą, tylko ludzkim potem.

Mimo, że moja rozmowa w Puszczykowie z synami Arkadego Fiedlera miała miejsce dawno, to opowieści o ojcu, przygodach wśród kanadyjskich Indian i domu rodzinnym z mamą Włoszką nie zdezaktualizowały się i mogą zachęcić do rozbudzenia pasji w poznawaniu świata. **Joanna Sokołowska-Gwizdka.**

Arkady Fiedler w Kanadzie, fot. Muzeum Arkadego Fiedlera w Puszczykowie

Joanna Sokołowska-Gwizdka: „Kanada pachnąca żywicą” jest nie tylko tytułem popularnej, tłumaczonej na dziewięć języków książki, ale i określeniem, które na stałe zagościło w naszym języku. Kojarzy się z czasem lektur szkolnych, marzeniami o dalekich podróżach i baśniowym świecie odległej indiańskiej kultury. Arkady Fiedler obył w sumie 6 podróży do Kanady. Najstarsza, której owocem była słynna książka, miała miejsce w 1935 roku. Następne odbył w latach 1945, 1961, 1972, 1975, a

ostatnią w 1980 roku, w wieku 86 lat. Proszę opowiedzieć o podróżach z ojcem do pachnącej Kanady.

Arkady Radosław i Marek Fiedlerowie: W 1980 roku, podczas ostatniej kanadyjskiej podróży ojca, pojechaliśmy między innymi do tych samych Indian Algonkinów, których ojciec odwiedził w swojej pierwszej podroży do Kanady. Mieszkaliśmy w rezerwacie, na północ od Montrealu. Spaliśmy z nimi pod namiotami, nad jeziorem, pływaliśmy na canoe, polowaliśmy itd. Były to dość traperskie warunki, jak na wiek ojca. Ale dla niego był to powrót do wspomnień. Bohaterowie książki już nie żyli, minęły przecież lata, ale miejsce wiele się nie zmieniło. W jakimś momencie nasi Indianie dostali zapomogi i upili się. Cała wioska tonęła w oparach alkoholu. Schodziliśmy im z oczu, bo patrzyli na nas coraz bardziej hardo, byliśmy dla nich jakimiś Jankesami, czy nie wiadomo kim. Otoczyli nas, jakby chcieli zażądać, abyśmy się zaraz wynosili. Ojciec miał przy sobie egzemplarz „Kanady pachnącej żywicą". Było to wprawdzie polskie wydanie, ale miało dużo fotografii. Pokazał im więc tę książkę, a oni wykrzyknęli – to Ty znałeś naszego wodza? On już nie żyje od 25 lat. A ojciec na to – no pewnie, polowałem z nim, lasy razem przemierzyliśmy. No i cała wioska zaczęła oglądać książkę, już byliśmy wspaniałymi przyjaciółmi, pękły wszelkie lody. I nikt nie chciał nas wyrzucić. Tak więc w trochę groteskowej sytuacji, książka nas uratowała.

Arkady Fiedler w Kanadzie, fot. Muzeum Arkadego Fiedlera w Puszczykowie

JSG: Oprócz Indian Algonkinów, w jakich rejonach Kanady odkrywaliście Panowie wraz z ojcem tajemnice kultury Indian?

AiMF: Byliśmy też w zachodniej Kanadzie, w Kolumbii Brytyjskiej, gdzie żyją ciekawe plemiona Indian Kwakiutlów, twórców zachwycających i niezwykłych totemów. Wśród tych Indian przez wiele lat głęboko zakorzeniona w tradycji była uroczystość ceremonialna, zwana „potlaczem". Jest to ceremonia spotykania się, zapraszania gości i obdarowywania ich ponad wszelką miarę, do tego stopnia, że zapraszający stawali się bankrutami. Wódz Indiański, który zapraszał, głowa rodziny,

tracąc często kumulowany przez lata majątek materialny, zyskiwał w oczach wioski i współplemieńców ogromy prestiż. Stawał się bohaterem, kimś wybitnym. Wymiar duchowy był dla nich ważniejszy, niż materialne, przyziemne sprawy. W tym obyczaju, była jednak też praktyczna strona. Jako bohater, taki wódz był bardzo często zapraszany w charakterze gościa do innych Indian, którzy z kolei urządzali „potlacze", no i tam częściowo odbijał sobie poniesione straty, gdyż tym razem on otrzymywał prezenty od gospodarza. Obyczaj ten w ich kulturze świetnie funkcjonował, nikt tam tak na prawdę nie cierpiał. Niestety zaingerował biały człowiek, władze brutalnie zakazały urządzania „potlaczy" ok. 80 lat temu, czyli na początku 20-tych lat ubiegłego stulecia, nie rozumiejąc kompletnie filozofii tych ciekawych Indian. W mentalności białego człowieka nie mieściło się, że można przez wiele lat ciężko pracować, gromadzić majątek, a potem go tak po prostu rozdać. Mając za sobą władzę, siłę, policję i prawo biały człowiek zniszczył tę kulturę. Tymczasem obyczaj ten wcale nie był samobójczy, oni go inaczej pojmowali, to była po prostu odmienna mentalność, wyrażająca się w różnych sferach życia. Innym zwyczajem było np. w jakimś określonym wieku, 5-6 lat nadawanie sobie imion, które stawały się drogowskazami na całe życie, np. „Jestem Dzielnym Człowiekiem", czy „Jestem Uczciwym człowiekiem". Człowiek obdarzony tym imieniem, chciał nie chciał musiał być taki, jak na to wskazywało jego imię. My wśród tych Indian długo buszowaliśmy i poznaliśmy ich dość dobrze. Staraliśmy zbliżyć

się do nich i zrozumieć ich mentalność. Oglądaliśmy ich sztukę, te wspaniałe, symboliczne, mające wiele znaczeń totemy z parku w Vancouver. Poznawaliśmy też Indian bardziej nowoczesnych, którzy pracują na rzecz Indian mniej nowoczesnych. Ogólnie stwierdziliśmy, że ta indiańskość w Kanadzie się zmienia, że są różne ruchy polityczne, że oni zaczynają się podnosić i nie są już tymi Indianami pokonanymi, smutnymi, przygnębionymi z II polowy XIX, czy z początku XX stulecia. Oczywiście, są plagi, np. pijaństwa, ale jest też wielu światłych Indian, po studiach, którzy mają inne, szersze horyzonty i rozwijają swoją kulturę. Stała się ona trochę komercyjna, ale myślę, że oni są dumni ze swojej przeszłości i z tego, że są Indianami i wielu Indian na pewno nie chce rozpłynąć się w morzu białych ludzi, dlatego zachowują oraz pielęgnują swoją odrębność etniczną.

Arkady Fiedler w Kanadzie, fot. Muzeum Arkadego Fiedlera w Puszczykowie

Arkady Fiedler w Kanadzie, fot. Muzeum Arkadego Fiedlera w Puszczykowie

JSG: Czy trudno jest dotrzeć do tych prawdziwych Indian, z tradycjami, wejść w ich kulturę, poznać środowisko?

AiMF: Na pewno trudniej jest dotrzeć w Ameryce południowej do Indian znad Amazonki, ze względu na fizyczne trudności w pokonywaniu drogi, bo w Kanadzie wszędzie dzisiaj można dotrzeć bez większego problemu, nawet daleko na północy. Może trochę gorzej zimą, ale latem nie ma takiego problemu. Oczywiście Indianie są różni. Z reguły są bardziej agresywni pod wpływem alkoholu. Biały człowiek staje się dla nich tarczą, w którą kierują swoją złość, przypominają im się dawne urazy. Mogą być wtedy niebezpieczni. Ale kiedy nie piją, są spokojni, zrównoważeni. Wtedy łatwiej można z nimi nawiązać kontakt. Kiedyś mieszkaliśmy na jednej z wysp Jeziora Górnego. Niedaleko, na stałym lądzie była wioska indiańska. Indianie z tej wioski to ludzie niezwykle przyjaźni, otwarci i rozmowni. Jeden z nich, chyba wódz, był wyjątkowo miły. Ale jego młodszy kuzyn pod wpływem alkoholu stał się niezwykle agresywny. Wstrzymywała go jedynie powaga i autorytet starszego Indianina i jego rodziny. W pewnym momencie stanął na przeciwko nas z nożem, a my nie wiedzieliśmy, czego można się po nim spodziewać. Ojciec więc łagodnie go zapytał – słuchaj, a jak ty masz na imię? A on mówi – Koczis. A ojciec na to – no Koczis, to przecież wspaniały wódz Apaczów, przecież znamy. I zrobił mu

wykład na temat Apaczów i jego wodza. I jemu się zrobiło głupio, zobaczył, że jednak Ci biali coś wiedzą, interesują się, nie są tylko zwykłymi podglądaczami. Usiadł więc z nożem i nie machał już nim więcej.

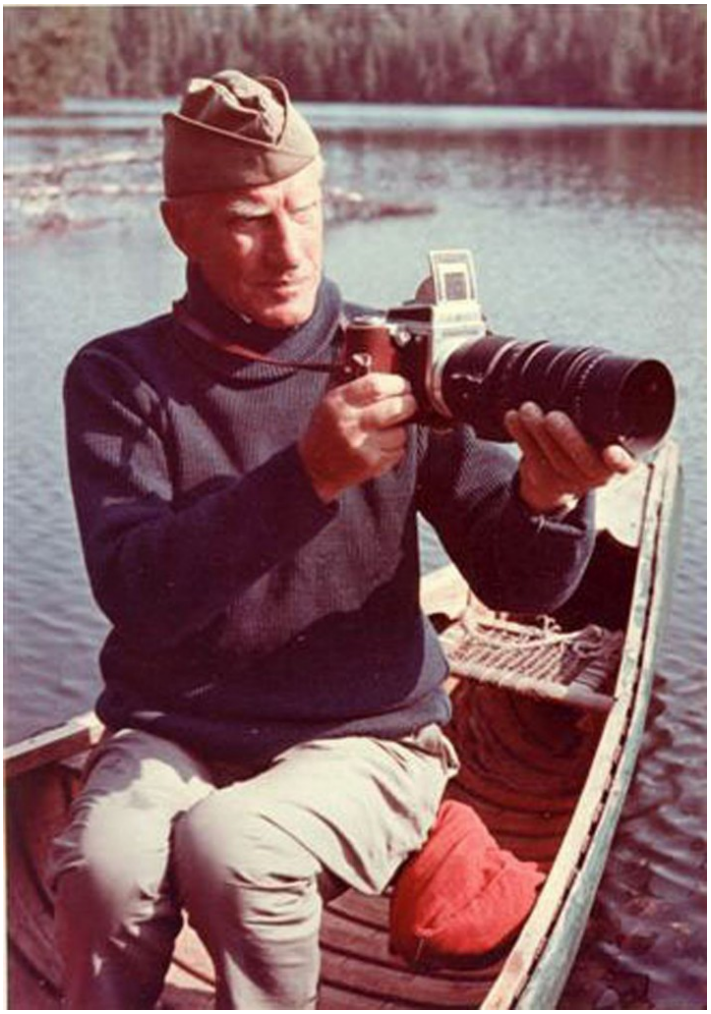

Arkady Fiedler w Kanadzie, fot. Muzeum Arkadego Fiedlera w Puszczykowie

Arkady Fiedler w Kanadzie, fot. Muzeum Arkadego Fiedlera w Puszczykowie

JSG: W jakim stopniu podczas planowania różnych podróży ich celem było poznanie fauny i flory, a w jakim kultury etnicznej danego rejonu?

AiMF: Fauna i flora łączy się nierozerwalnie z kulturą etniczną. Trudno mówić o Indianach bez przyrody. Trudno też mówić o samej przyrodzie, kiedy się wie, że mieszkają tam ciekawi ludzie, którzy są jakby jej częścią. Elementy te łączą się w naturalny, harmonijny sposób. W przypadku ojca, nie planował on turystycznych podróży, tylko wyprawy dyktowane pasją i

określonym celem – zdobywaniem materiałów literackich, czy eksponatów do muzeum. Przygotowanie do podróży zazwyczaj trwało szereg miesięcy. Ojciec czytał możliwie jak największe ilości książek dotyczących danego kraju, jego ustroju, warunków naturalnych oraz ludzi. Kiedy jechaliśmy razem, też dokładnie planowaliśmy każdą podróż i wyznaczaliśmy sobie cel. Chcieliśmy np. zagłębić się w pachnącą Kanadę, w las i być blisko tej wspanialej, ciągle dzikiej przyrody. No i zawsze fascynowała nas kultura Indian.

JSG: Czy wspominacie Panowie, jakąś szczególną, zaskakującą historię w podróżach z ojcem?

AiMF: Każda z podróży była na swój sposób ciekawa i każda inna. Zwykle najbardziej pamięta się tę ostatnią. I nie raz byliśmy zaskakiwani. To jakaś dziwna prawidłowość, im dokladniej się przygotowuje do wyprawy, tym więcej niespodzianek czeka po drodze. Jechaliśmy kiedyś razem do Nigerii. Czytaliśmy wcześniej wszystko, co nam wpadało w ręce na temat tego kraju, po polsku i po angielsku. Wytyczyliśmy szczegółowy plan, rozplanowywaliśmy podróż czasowo. Jechaliśmy na północ Nigerii, samochodem z Polakiem, który tam pracował. W drugim dniu podróży, kiedy byliśmy już zmęczeni i upałem i dość niewygodną drogą, zatrzymaliśmy się w jakiejś małej wiosce. Stajemy i oczom nie wierzymy. Tamtejsze kobiety wyglądem przypominają kaczki. Mają wyciągnięte wargi, na co

najmniej kilkanaście cm do przodu. Nazwaliśmy tę wieś Wsią Kaczych Dziobów. Czytaliśmy o Nigerii, ale na nic takiego nie natrafiliśmy. Oczywiście nasz plan się zawalił, bo zatrzymaliśmy się tam na dłużej, aby się wszystkiego dowiedzieć o tych kobietach. Okazało się, że gdy dziewczynka miała 3 lata, to nacinano jej w środku usta i wkładano krążki, które wypychały wargę do przodu. W miarę jak dziewczynka rosła, miała wkładane coraz większe krążki. Z naszego punktu widzenia i według naszego kanonu urody kobiety te wyglądały okropnie. Ale zwyczaj zniekształcania miał swoje historyczne uzasadnienie. Pod koniec XIX stulecia kobiety z tego plemienia miały normalne usta i uchodziły za jedne z najpiękniejszych w okolicy. Sława ich urody szeroko się rozchodziła. Były to ciągle czasy łowców niewolników, którzy napadali i porywali kobiety do arabskich haremów. Temu plemieniu groziła zagłada biologiczna. Starszyzna wpadła więc na pomysł, żeby oszpecać swoje kobiety. I rzeczywiście w ten sposób uratowano plemię, ponieważ łowcy niewolników stracili zainteresowanie. Kiedy my się pojawiliśmy w wiosce, przecież wiele lat po czasach łowców niewolników, dziewczyny, czy kobiety miały takie usta po to, żeby podobać się swoim mężczyznom, bo dla nich kobieta ze zwykłymi ustami, nie jest atrakcyjna. Tak więc przez lata, w kolejnych pokoleniach zmieniło się pojmowanie piękna i kanon urody.

Arkady Fiedler w Kanadzie, fot. Muzeum Arkadego Fiedlera w Puszczykowie

Arkady Fiedler w Kanadzie, fot. Muzeum Arkadego Fiedlera w Puszczykowie

JSG: Jesteśmy w pięknym Państwa domu, w Puszczykowie, oryginalnym, w którym się czuje klimat i pasję podróżniczą. Jaka jest historia tego domu?

AiMF: Mieliśmy prawdziwy rodzinny dom. Cały czas była w nim mama, Włoszka. Z ojcem poznali się w Londynie, podczas wojny, gdzie ojciec służył w wojsku polskim, po porzuceniu baśniowej wyspy Tahiti. Mama mu pomagała przepisywać teksty, choć nie znała słowa po polsku, ale umiała pisać na maszynie. Gdy wojna się skończyła, ojciec zdecydował wrócić do Polski, z którą był bardzo związany. Pisał dla polskiego czytelnika, jeździł po świecie z myślą o tym, żeby zbierać ciekawe materiały i pokazywać je w Polsce. Wrócili z mamą i z nami w 1948 roku. Ojciec kupił ten dom, który odtąd stał się rodzinnym domem. Urodził się w Poznaniu, ale zawsze bliskie mu były podpoznańskie lasy, Puszczyków, dęby rogalińskie, rzeka Warta.

JSG: Dom wraz z otoczeniem stał się więc miejscem powrotów z dalekich podróży i miejscem pracy twórczej, pisarskiej. Arkady Fiedler zaraził swoich synów pasją podróżniczą. Zabierał nie tylko na dalekie wyprawy, ale i przekazał chęć gromadzenia zbiorów i powiększania kolekcji. W części domu jest teraz wspaniałe Muzeum, starannie i z dużą ofiarnością prowadzone przez rodzinę, którą taka idea na pewno niezwykle jednoczy.

AiMF: Skąd pomysł na Muzeum? Do ojca przyjeżdżali

czytelnicy, widzieli, że wraca z daleka, ze świata i chcieli coś zobaczyć. A gromadziło się coraz więcej ciekawych eksponatów. W pewnym momencie na rodzinnej naradzie postanowiliśmy te rzeczy wyciągnąć z różnych miejsc, ze strychu, skrzyń i kufrów i stworzyć stałą ekspozycję. W tej chwili jest to chyba jedyne w Wielkopolsce prywatne muzeum, które działa, rozwija się i na szczęście jakoś daje sobie radę. Wszyscy w rodzinie uczestniczą w tym przedsięwzięciu, pomagają, współtworzą Muzeum. Nie jest to muzeum statyczne, ekspozycja ciągle się zmienia, rozwija. Zaczęło się od 4 pomieszczeń, w których były pamiątki z całego świata, przywiezione głównie przez ojca, ale także przez nas synów. Potem wyszliśmy w ogród, gdzie powstają wierne kopie w skali 1:1 charakterystycznych postumentów, rzeźb, posągów, itd. My nazywamy ten ogród Ogrodem Tolerancji, bo spotykają się tu bardzo różne, odległe kultury i wszystkie żyją w zgodzie i harmonii. Niech więc jakieś przesłanie płynie z tego ogrodu, bo tolerancji jest ciągle na świecie za mało.

Rozmowa została przeprowadzona w listopadzie 2003 roku, w domu Arkadego Fiedlera w Puszczykowie, koło Poznania.

Z synami Arkadego Fiedlera w Puszczykowie, od lewej: Arkady Radosław Fiedler, Joanna Sokołowska-Gwizdka, Marek Fiedler, fot. Andrzej Sokołowski

Zachęcam do odwiedzenia strony Muzeum Arkadego Fiedlera w Puszczykowie, gdzie można znaleźć infomacje nie tylko o słynnym podróżniku, ale i o wyprawach kolejnych pokoleń, zarażonych pasją poznawania świata, o imprezach organizowanych przez całą rodzinę, książkach i różnych akcjach popularyzujących podróże. Są tam też filmy z youtube i wiele pięknych fotografii:

http://www.fiedler.pl/

Wybitny pisarz i podróżnik Arkady Fiedler ur.28.11.1894 w Poznaniu – zm.7.03.1985 w Puszczykowie. Był synem Antoniego Fiedlera, znanego poznańskiego poligrafa i wydawcy. On to właśnie ukształtował osobowość młodego Arkadego, rozbudził w nim namiętne zainteresowanie przyrodą. „Uczył mnie kochać rzeczy takie, obok których inni ludzie przechodzili obojętnie" – wspomni później pisarz o swym ojcu. Po ukończeniu szkoły realnej w Poznaniu, studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim filozofię i nauki przyrodnicze. Studia przerwała I wojna światowa. W latach 1918-19 brał udział w powstaniu wielkopolskim i należał do Polskiej Organizacji Wojskowej. W 1926 wydrukował w odziedziczonym po ojcu zakładzie chemigraficznym reportaż ze swej wyprawy: „Przez wiry i porohy Dniestru". A w 1928 wyruszył w pierwszą, wielką podróż do południowej Brazylii. Przywiózł z niej bogate zbiory zoologiczne i botaniczne, które bezinteresownie przekazał Muzeum Przyrodniczemu i innym placówkom naukowym w Poznaniu, i nie mniej bogate wrażenia, które opisał w książkach „Bichos, moi brazylijscy przyjaciele" i „Wśród Indian Koroadów". W 1933 urzeczywistnił swe najgorętsze marzenie: ruszł do Amazonii, do najbujniejszej pod słońcem puszczy tropikalnej. Wyprawa zaowocowała książką „Ryby śpiewają w Ukajali", która przyniosła pisarzowi wielką, popularność i uznanie czytelników. W 1936 wydał „Kanadę pachnącą, żywicą". W tym samym roku

otrzymał nagrodę literacką miasta Poznania i Srebrny Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury. Wybuch II Wojny Światowej zastał Fiedlera na Tahiti. Porzucił baśniową wyspę, by wybrać żołnierski los. Przez Francję dotarł do Anglii, gdzie poznał polskich lotników bohatersko walczących w Bitwie o Wielką Brytanię. Napisał o nich głośną książkę „Dywizjon 303" – jej przedruki krążyły w okupowanym kraju, krzepiąc ducha. Pływał też na polskich statkach handlowych – wysiłek wojenny naszych marynarzy opisał w książce „Dziękuję ci, kapitanie". W 1946 wrócił do ojczyzny i zamieszkał w Puszczykowie pod Poznaniem. Nadal wiele podróżował – odwiedził Meksyk, Indochiny, Brazylię, Madagaskar, kilkakrotnie Afrykę Zachodnią. Plonem tych podróży były m.in. „Dzikie banany", „Piękna straszna Amazonia", „Madagaskar okrutny czarodziej", „Spotkałem szczęśliwych Indian". Napisał powieści dla młodzieży: „Mały Bizon", „Wyspa Robinsona", „Orinoko", książki autobiograficzne – „Mój ojciec i dęby", „Wiek męski – zwycięski". W swoim 90-letnim życiu odbył 30 wypraw i podróży. Do każdej przygotowywał się niezwykle starannie, studiując mapy , atlasy, czytając książki o krajach, do których się wybierał, korespondując z tamtejszą Polonią. W dorobku ma 32 książki wydane w 23 językach i przeszło10-milionowym nakładzie. Jego książki urzekają plastyką opisu, pasjonująco, barwnie zbliżają czytelnikowi ludzi o różnych kolorach skóry, uczą szacunku dla innych kultur i obyczajów, opiewają piękno przyrody. W 1957 Fiedler po raz drugi został laureatem nagrody literackiej miasta Poznania, a w 1978 –

nagrody państwowej I stopnia. W 1969 otrzymał najsympatyczniejsze odznaczenie – Order Uśmiechu. W 1974 pisarz zachęcony namowami czytelników stworzył wraz z rodziną prywatne muzeum podróżniczych trofeów w swym puszczykowskim domu.

Poza gniazdem. Wizerunki emigrantek polskich.

Polscy emigranci w USA na początku XX w., fot. Wikipedia.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: *„Poza gniazdem. Wizerunki emigrantki polskiej w Kanadzie w XX wieku”, to źródłowe studium na temat kobiet emigrujących do Kanady. Dlaczego zainteresowała się Pani kobietami na emigracji, a nie np. emigracją z Polski w sensie ogólnym?*

Maria Anna Jarochowska

Maria Anna Jarochowska: Temat kobiet na emigracji jest dla mnie ciekawszy. Jak dotąd mało kto interesował się tym jak one sobie radzą w Kanadzie, jak dają sobie radę z tęsknotą, z problemami asymilacji. Poza tym, jako długoletnia emigrantka dobrze poznałam problemy emigracji do Kanady, a każdy kraj ma sobie właściwe problemy.

JSG: *W książce oprócz losów kobiet z różnych środowisk i w różnych okresach, naszkicowała Pani bogate tło socjologiczno-polityczne, które wyjaśnia szereg decyzji związanych z poczuciem przynależności do nowego społeczeństwa, czy asymilacją w nowym kraju. Jak długo powstawała tak bogata w*

różne informacje książka?

MAJ: Mniej więcej 10 lat chociaż, na tematy związane z zagadnieniami ekonomicznymi, politycznymi, społecznymi, psychologii społecznej i historii Kanady czytałam już wiele lat wcześniej, podobnie jak na tematy emigracji teoretycznej i praktycznej.

JSG: *Doktorat zrobiła Pani z nauk przyrodniczych, skąd zatem wzięło się u Pani zainteresowanie Kanadą i jej mieszkańcami oraz szeroko pojętą problematyką społeczną i psychologiczną?*

MAJ: W czasie pobytu w Polsce zrobiłam magisterium z ekonomii politycznej, doktorat z nauk przyrodniczych, ze specjalizacją z geografii i dyplom z bibliotekoznawstwa. W zakresie geografii specjalizowałam się w kilku kierunkach: statystyki w geografii i geografii kulturalnej, którą następnie już w Kanadzie rozszerzyłam o antropologię społeczną, To jednak wymagało ode mnie uzupełnień z zakresu historii Kanady, socjologii i psychologii. Gdybym się tego nie nauczyła, nie mogłabym napisać „Poza gniazdem".

JSG: *Za książkę „Kanada. Kraj i Ludzie" otrzymała Pani w 1961 roku stypendium postdoktoranckie z Canada Council, z którego Pani nie skorzystała, gdyż za odmowę zbierania informacji za granicą, nie otrzymała Pani paszportu. Proszę powiedzieć jak*

znalazła się więc Pani w Kanadzie.

MAJ: W PRL-u był zawsze bałagan. Prawdopodobnie kiedy parę lat później składałam podanie o paszport turystyczny, aby odwiedzić dalekich krewnych, w urzędzie paszportowym nie połączono mojego nazwiska z moim poprzednim podaniem o paszport. Przypłynęłam więc na paszporcie turystycznym.

JSG: *Jakie były Pani doświadczenia, po postawieniu pierwszych kroków na kanadyjskiej ziemi?*

MAJ: W Kanadzie parę lat czekało na mnie roczne stypendium, przeznaczone na poznawanie przeze mnie całego kraju. Zatem ruszyłam w drogę, pociągami i autobusami zatrzymując się po drodze w różnych uniwersytetach. W Winnipegu dostałam propozycję zatrudnienia na stanowisku wykładowcy w departamencie geografii i po zakończeniu stypendium zaczęłam tam pracować. Z powodu bardzo zimnego winnipegowskiego klimatu przeniosłam się po kilku latach do departamentu geografii do Montrealu i tam przez 29 lat, aż do przejścia na emeryturę, uczyłam statystyki w geografii, geografii rolnictwa Quebecu, Kanady i świata oraz geografii kobiet w różnych kulturach świata (kobiety Indii, Chin, Azji południowo-wschodniej, itp.) Jakieś 10 lat przed przejściem na emeryturę zaczęłam formułować swoje zainteresowania emigracją. Musiałam przygotować metodę badań i ustalić

osiągalną dla mnie dokumentację. Po przejściu na emeryturę przenieśliśmy się z mężem do Brytyjskiej Kolumbii, bo tutaj klimat jest łagodniejszy.

JSG: *Czy trudno było Pani, nowej emigrantce, zdobyć pozycję naukową na kanadyjskich Uniwersytetach?*

MAJ: Nie, w czasie kiedy przybyłam do Kanady polityka imigracyjna była bardzo życzliwa dla imigrantów. Oczywiście potem musiałam tak samo pracować jak każdy profesor.

JSG: *Czy pogodziła Pani kulturę starego kraju z kulturą nowej ojczyzny?*

MAJ: Tak, czuję się zintegrowana ze społeczeństwem kanadyjskim, zrozumiałam i zaakceptowałam kulturę narodową kanadyjską, czuję się członkiem społeczeństwa, w którym się znajduję, ale wyrosłam w kulturze narodowej polskiej i nadal mam ją w sobie. Tam przeżyłam wojnę i byłam członkiem społeczeństwa, na którego ciele robiono eksperymenty komunistyczne. Tego się nie zapomina. Obchodzi mnie wszystko co dotyczy Polski i Kanady, ale mój dom jest w Kanadzie.

JSG: *Czy w dobie globalizacji, Internetu, tanich telefonów można mówić o wyobcowaniu na emigracji jako o zjawisku?*

MAJ: Można, bo globalizacja, telefon i Internet nie zastąpią kontaktów osobistych z rodziną i przyjaciółmi, chociaż zmniejszają nacisk wykorzenienia, a to właśnie wykorzenienie jest przyczyną, że czujemy się obcy.

Notka na temat książki:

Do tej pory brak jest opracowań na temat polskich kobiet na emigracji w Kanadzie. Lukę tę zapełnia praca prof. Marii Anny Jarochowskiej.

Posługując się licznymi wypowiedziami emigrantek, omawia ona po kolei cztery wielkie fale emigracji polskiej w okresie od 1900 do 2000 roku na tle ówczesnej kanadyjskiej polityki imigracyjnej, warunków ekonomicznych oraz stosunku społeczeństwa tego kraju do nowo przybywających Polaków. Autorka zarysowuje kolejno postacie wybitnych emigrantek i dziedziny ich działalności.

Praca jest podzielona na trzy zasadnicze części. W pierwszej omawiane są ogólne problemy związane z emigracją. W drugiej przedstawione są trudności związane z osiadaniem emigrantek na ziemi kanadyjskiej i godzenie się z tym faktem, w dużej mierze dzięki działalności społecznej. Trzecia część poświęcona jest ogólnokanadyjskim organizacjom kobiecym, a szczególnie Federacji Polek w Kanadzie.

Uzupełnieniem publikacji jest lista kobiet wyróżnionych rozmaitymi odznaczeniami kanadyjskimi, polskimi, innych państw oraz organizacji polonijnych. Bibliografia oraz indeks ponad 300-tu nazwisk i pseudonimów ułatwiają odnalezienie źródła lub poszukiwanej osoby.

Maria Anna Jarochowska: *Poza gniazdem. Wizerunki emigrantki polskiej w Kanadzie w XX w.*, Polski Instytut Naukowy w Kanadzie – Biblioteka Polska im. Wandy Stachiewicz, 2006 r.

Wywiad ukazał się w „Liście oceanicznym", dodatku kulturalnym „Gazety" z Toronto, luty 2007.

Adam Tomaszewski jako poszukiwacz symetrii kultur

Wilek Markiewicz, Toronto, stare miasto.

Ewa Bagłaj

Obraz Kanady w powojennej literaturze polskiej

W *Wiośnie u Wielkich Jezior* Tomaszewski łajał „polonijną wysepkę" w Kanadzie za brak inicjatywy w budowaniu mostów, które pozwoliłyby zbliżyć się naszym rodakom do innych nacji,

kultur i wyznań. W następnej swojej książce o Kraju Klonowego Liścia pokazał, jak można stworzyć taki pomost pomiędzy Kanadą a Wielkopolską poszukując tego, co w nich podobne. Takich wspólnych punktów, jak się okazało, jest zaskakująco wiele. „Poszukiwaczem symetrii, nie kontrapunktu" nazwał twórcę *„Krzyku dzikiej gęsi"* Sergiusz Sterna-Wachowiak, badacz esencji „kanadyjskości" w literaturze i sztuce autora, chyba jedynej tego typu inicjatywy w polskiej krytyce. (Sergiusz Sterna-Wachowiak, *Szukanie Kanady. Esej torontoński* [w:] „Akcent" 2002, nr 3, s.66).

Tomaszewski, potomek wielkopolskich Robinsonów, co to „zagospodarują nawet wyspę bezludną", odnajduje w nowej ojczyźnie znany sobie światopogląd i wynikający z niego typ zachowań.

Skoncentrowanie się na poszukiwaniu podobieństw między pierwszą i drugą ojczyzną jest czymś oryginalnym, mocno wyróżniającym obraz Kanady zawarty w twórczości „torontończyka kościańskiego pochodzenia" na tle wielu innych.

Wielokulturowość jest tu jedną z najlepiej widocznych cech po obu stronach tej osi symetrii. Jest ona najistotniejszą wartością kanadyjskiej społeczności, budzącą wdzięczność i miłość do tolerancyjnego państwa:

„Toronto, Taraunto, Tronto, nawet Trana… słyszy się codziennie. Na ulicy, w tramwaju, w biurze, w sklepie, przy warsztacie pracy. Takie to i miasto. Wymawia się jego nazwę samodzielnie, indywidualnie – każdy inaczej.

Inaczej Brytyjczyk. Inaczej imigrant z kontynentu. Inaczej profesor uniwersytetu. Inaczej kierowca taksówki. Jeszcze inaczej chłopiec na posyłki. Ale wsłuchując się w wymowę nie zawsze kulturalnie brzmiącą, wymowę szarego człowieka torontońskiej ulicy, nietrudno wyczuć podziw, wiarę, szacunek, miłość. Do swego miasta". (Adam Tomaszewski, Jadwiga Jurkszus-Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana, s.181).

Autor jest jedną z tych osób. Nic zatem dziwnego, że jego portret Kanady przypomina trochę fotografię ukochanej. W tonie bliskim miłosnemu zwierzeniu utrzymany jest choćby ten na wskroś poetycki opis:

„»O Canada…« (…) jesteś w szumie sosen pochylających się nad wartką Madawaską. Jesteś w postaci starego drwala z Killaloe. W opowieściach zgrzybiałego Jacka, który już nie zadba o swą linię sideł przerzynającą się przez haliburtoński busz. W szkarłacie jesieni ubierającej północny las. W zgrzycie pił odległego tartaku. W gwiździe pociągów budzących tęsknotę w samotnych godzinach nocy. I u Cape Bonavista, i u Zatoki Ha ha ha, na Eagle Peak, na Blue Hills, na Avalonian Ranges…

Jesteś w pieśni regionalnej. W iglicy katedralnej wieży". (A. Tomaszewski, J. Jurkszus- Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana, s.44).

Nawet dociekania na temat genezy nazwy państwa przybierają formę monologu zakochanego, który cieszy się brzmieniem drogiego mu imienia. „Kanada. Co za dziwne, urocze słowo. Odzywa się w nim jakby tęsknota, jakby dalekie wołanie. Może tak brzmi krzyk dzikich gęsi ciągnących nocą w samotnej dyscyplinie klucza, pod północną zorzą? Może tak zawodzą mewy nad wydmami Nowej Szkocji? Może wymyślili to słowo pierwsi władacze tej ziemi, Irokezi, nazywając swe domki »kanata«, może zasługę przypisać należy plemionom Algonquin, wracającym z wypraw do swych osiedli – »odanah« ?

A może to hiszpańscy żeglarze? Porwani gorączką złota i rozgorzałą właśnie odkrywczą »competition«, jeszcze przed Champlainem dotarli do Jeziora Couchiching. I kiedy w nadbrzeżnych skałach i na ławicach żółtego piachu nie pokazał się drogocenny kruszec, zawodzili płaczliwie »Aca nada«, »Aca nada« (nie ma złota). Gdy w pogodny, letni dzień samotny wędrowiec tnie dziobem swego »canoe« toń jezior Haliburton czy Kawarthy, z gąszczów przybrzeżnych dojdzie go swojskie, dobrze znane wołanie. To wróbel kanadyjski z biało upierzonym gardziołkiem, śpiewa na cześć słońca, lata, życia: »Sweet, sweet, sweet Canada, Canada, Canada«". (A. Tomaszewski, J. Jurkszus-

Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana, s.42-43).

Jak każdy miłosny związek, tak i uczucie do „słodkiej Kanady” (tak określają ją słowa hymnu państwowego) ma swoją dynamikę. Na początku było więc niejasne pojęcie o tym, że ona w ogóle istnieje. Wtedy jeszcze w cieniu dominującej „koleżanki”:

„W geografii szkolnej musiała być mowa o Kanadzie. Ale widocznie nie za dużo i nie za dobrze nauczono, skoro pojęcie zostało raczej mgliste. Właściwie zawsze podświadomie miało się przekonanie, że to mniej więcej to samo co Stany Zjednoczone. Ot, po prostu Ameryka”. (A. Tomaszewski, J. Jurkszus-Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana, s.19).

Fizyczny kontakt z Krajem Klonowego Liścia to wynik „małżeństwa z rozsądku”- Kanada była jednym z kilku państw, które zdecydowały się przyjąć polskich żołnierzy po drugiej wojnie światowej. Pierwsze doświadczenie to praca ponad siły i nieżyczliwość właścicieli farmy:

„Dzień zamknięty między 4.30 A.M. a 10 P.M. Piętnaście godzin męki, wysiłku, agonii, niezadowolenia, szyderstwa, drwiny (…) Na dłoniach nabrzmiałe, bolesne pęcherze”. (A. Tomaszewski, J. Jurkszus-Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana, s. 13).

Gospodarz, Szkot Mac Call, szybko rezygnuje ze „słabowitego" robotnika i odwozi Adam do biura pośrednictwa pracy. Tam bohater autobiograficznego reportażu decyduje się szczerze opowiedzieć o swej niedoli urzędnikowi:

„I nie zawiodłem się. Z największym zdziwieniem, zaskoczeniem, ulgą zobaczyłem na twarzy przedstawiciela kanadyjskiej władzy państwowej życzliwy uśmiech. I to był dla mnie szok, najradośniejsze uczucie, najradośniejsze przeżycie. Kanada jest inna. Kanada nie składa się tylko z Mac Callów (…) Były potem i przeciwności i trudności i gorzkie nieraz doświadczenia. ale i piękniała nam ta Kanada, rozsłoneczniała się, coraz bardziej…". (A. Tomaszewski, J. Jurkszus-Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana, s. 17-18).

Zwłaszcza Toronto obdarzy autor po latach takim uczuciem jak kogoś bliskiego. Sugeruje tę postawę m.in. często występujący w opisach miasta zabieg personifikacji jego architektury, np. „Stary ratusz grzeje swe mury w słońcu", „I śmieje się do wiosny ulica i zatacza się trochę z radości, trochę od…piwa". (o Queen Street).

„Toronto, Tronto, Trana" maluje portret pięknej metropolii, największego i najprężniej rozwijającego się miasta spośród położonych powyżej północnej granicy Stanów Zjednoczonych. „Tomaszewscy byli świadkami szybkiego przeobrażenia się Toronto z prowincjonalnej, nudnej mieściny w elegancką i

kulturalną metropolię, należącą do czołówki atrakcyjnych miast na amerykańskim kontynencie". (Florian Śmieja, Pisarze polscy w Kanadzie, s.118). Obserwowali te zmiany codziennie, jak śledzi się rozwój dziecka i coś z macierzyńskiej troski a zarazem dumy rodzica, który przeczuwa przyszłą wielkość najmłodszej pociechy, pobrzmiewa w ich stosunku do Kanady:

„W cieniu Stanów Zjednoczonych i Anglii, dwóch starszych braci, kanadyjski chłopiec dopiero się uczy, dopiero odnajduje w sobie nieznane dotąd bodźce, dopiero odkrywa własne wartości w zapiskach historii tego kraju, dopiero zaczyna kształtować opinię o własnej mocy, możliwościach, charakterze. Ale ten naród ma wszystko potrzebne do wielkości. naród dopiero w marszu, dopiero »in the making«. Żaden naród kilkunastomilionowy nie zamieszkiwał dotąd takich przestrzeni, żaden nie był tak bogaty, żaden nie miał tak potężnych aliantów. Słowo alianci nie jest tu zresztą najszczęśliwsze, wymienione potęgi i narody to raczej rodzina. W rodzinie mogą być kłótnie i nieporozumienia, ale w razie potrzeby – staje się murem. Więzy te bardzo są mocne. Wspólna historia, wspólnie na polach bitew rozlana krew, wspólna tradycja, język, pieśń…". (A. Tomaszewski, J. Jurkszus-Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana, s.42).

Kto ma nową rodzinę, nie tęskni tak mocno za tą utraconą, w której urodził się i wychował. Dlatego może w prozie mieszkańca tego wielokulturowego Domu „na próżno szukać (…) rozpaczy

wygnańca, tułacza, włóczęgi. (Piotr Śliwiński, Lustro i echo. *O pisarstwie podróżniczym Adama Tomaszewskiego* [w:] *Jesteś wszędzie, Itako…*,s.41).

Na początku wygnańczej wędrówki Tomaszewskich myśl ucieka przy byle okazji do polskiego Domu, który zmuszeni byli opuścić. „Mijają lata. Gorsze i lepsze. Lata oporów wewnętrznych, niechęci i krytyki". (A. Tomaszewski, J. Jurkszus-Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana, s.27).

Z czasem jednak okazuje się, że to nie bezładna tułaczka, ale pielgrzymka, której celem jest Dom. I ten cel został osiągnięty. Jest to bowiem nowy Dom – kanadyjski. Bo centrum świata stało się dla nich Toronto. Tak jak poeta Czaykowski „narodzili się raz jeszcze" w tym kraju. Ale ten moment ustalenia się nowego centrum świata to wynik długiego procesu asymilacji:

„Stopniowo krytyka – nieunikniona, bo leżąca w naszym charakterze narodowym – słabła w nasileniu. Już zaczynaliśmy Kanady bronić. Z początku przed nowszymi imigrantami z innych krajów. Już denerwowało nas, że wszystko im się nie podoba, gdy nie znają jeszcze cząstki prawdy o tym kraju. Potem przyszły chwile innej, bardziej drastycznej obrony. Gdy coraz częściej zaczęli przybywać goście z własnego kraju, gdy raz po raz słyszeliśmy, że wszystko co polskie, to lepsze. Czy ucichła tęsknota? Czy stępiało uczucie? Nie wiemy. I choć trudno nam

powiedzieć jeszcze »Chosen Country«, jak Dos Pasos o Stanach, bośmy tego kraju nie wybrali, wytworzyło się już w nas przywiązanie, poczucie łączności. Poczucie ważniejsze niż formalność uzyskania obywatelstwa, niż prawo głosowania. Ludzie z pokolenia średniego rzadko bardzo stają się stuprocentowymi Kanadyjczykami, ale i dla nich po latach jest jasne, że Kanada to nie tylko schronienie czasowe dla tułaczy, to nie jeden z wielu namiotów długiej wędrówki po świecie, ale dom, do którego się wraca”. (A. Tomaszewski, J. Jurkszus-Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana).

Kościan, miejsce urodzenia Adama Tomaszewskiego.

Artykuł opublikowany w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto, listopad 2005 r.

Raj dla Głupca. Doris McCarthy.

Dom Doris McCarthy z widokiem na jezioro Ontario, fot. Jacek Gwizdka

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Spotkanie z Doris McCarthy to duże przeżycie. Pogodna, ciepła, serdeczna 95-cio latka, pełna pomysłów na życie i twórczego zapału podróżniczka, uczennica malarzy ze słynnej kanadyjskiej Grupy Siedmiu mieszkająca w urokliwym, bajkowym domu, w ogrodzie położonym na klifach Scarborough z widokiem na

Jezioro Ontario, uważana jest za jedną z najlepszych malarek krajobrazu w Kanadzie. Znana też jest jako pisarka, która wydała kilka książek opartych na swojej biografii i życiowych obserwacjach. Ci, którzy ją znają mówią, że poprzez sztukę oraz swoją osobowość potrafi dotrzeć i dotknąć środka człowieka, pozostawiając niezapomniane emocje. Coś w tym jest. Nasze spotkanie z Doris pozostanie nam na zawsze w pamięci.

Doris McCarthy w swoim domu na klifach, fot., Jacek Gwizdka

Doris McCarthy urodziła się 7 lipca 1910 roku w Calgary w Albercie. W 1913 roku jej rodzice wraz z trzyletnią córeczką przenieśli się do Toronto i zamieszkali w rejonie Beaches. W wieku 5 lat Doris rozpoczęła naukę w Williamson Road School. Od 1921 roku uczęszczała do Malvern Collegiate Institute w Toronto. Wtedy zaczęła pisać dziennik i postanowiła, że przez całe życie notować będzie swoje obserwacje i przeżycia. Pragnęła zostać pisarką, wyobrażała sobie, że pisanie łączy się z podróżami, a dzięki nim można poznać bogactwo świata. Ale w wieku 15 lat, w ostatniej klasie szkoły średniej, zapisała się na lekcje plastyki w ramach sobotnich kursów dla młodzieży w

Ontario College of Art i zapałała chęcią malowania. Wicedyrektor szkoły, którym był wówczas jeden z malarzy Grupy Siedmiu – Arthur Lismer, zauważył młodą, utalentowaną artystkę i pod koniec roku Doris otrzymała pełne stypendium pozwalające jej na studia w College'u. Podczas nauki malarstwa Doris zetknęła się też z innymi malarzami z Grupy Siedmiu. Oprócz Arthura Lismera byli to J. E. H. McDonald, A.Y. Jackson i Lawren Harris. W 1929 roku Arthur Lismer zaoferował jej, aby raz w tygodniu uczyła w Toronto Art Gallery. Dzielenie się swoimi umiejętnościami i spojrzeniem na świat, było dla niej cennym doświadczeniem, które kontynuowała przez całe życie. Gdy w 1930 roku z wyróżnieniem ukończyła Ontario College of Art, dalej prowadziła klasy dla dzieci w Art Gallery, a od 1932 roku rozpoczęła pracę nauczycielki historii sztuki w Central Technical School. Szkole tej pozostała wierna przez 40 lat, uczyła w niej aż do przejścia na emeryturę w 1972 roku. Po przejściu na emeryturę, w wieku 62 lat wyruszyła na pierwszą kanadyjską arktyczną wyprawę. Miała w pamięci widok góry lodowej, którą po raz pierwszy zobaczyła z pokładu statku, gdy w 1936 roku wracała ze studiów w Anglii (ukończyła Central School of Arts and Crafts w Londynie) i widać ten widok i ciągła ciekawość świata i nowych miejsc nie dawały jej spokoju. Potem były kolejne wyprawy. Gdy w 2004 roku próbowałam się z nią umówić na rozmowę, usłyszałam, że bardzo chętnie, tylko kiedy? Artystka jest bardzo zajęta. Latem maluje w studio nad Georgan Bay, potem jedzie na Baffin Island należącej do Terytorium

Nunavut, a jesień ma zamiar spędzić… na Syberii, gdyż ma tam być plener malarski. No i w przygotowaniu jest też wycieczka po Kanadzie, w której mogą wziąć udział wszyscy młodzi adepci sztuki oraz ci, którzy chcą poznać tę niesamowitą osobę. Aby w wieku 94 lat, mieć tak wypełniony czas, wkładać kapelusz, brać płótno i wyruszać na daleką Północ, nie często się zdarza. Swoje przeżycia związane z wyprawami do kanadyjskiej Arktyki Doris zawsze utrwalała na płótnie. I tak powstała jedna z najbardziej znanych i cenionych serii malarskich pod tytułem „Fantazje góry lodowej", która jest jedną z najbardziej cenionych serii jej prac.

Joanna Sokołowska-Gwizdka w domu Doris McCarthy.

Życie na emeryturze nie musi się dłużyć. Jakby mało było tego wszystkiego, co robiła Doris McCarthy w dziedzinie sztuki, ukończyła ona studia literackie na UofT. W 1989 roku z wyróżnieniem zdobyła tytuł Bachelor of Arts in English. Spełniło się też marzenie i została pisarką. W książkach przekazała to, co chciała, aby po niej pozostało. Pokazała, że życie z pasją i

radością, mimo trudności, dążenie do wytyczonego celu, realizacja swoich marzeń i dawanie siebie innym, mogą być sensem życia i nie muszą być pustymi słowami. Jej rady skierowane do młodych artystów, którzy dopiero wstępują na drogę sztuki, zawierają duży ładunek mądrości. – Aby zostać artystą – pisała Doris McCarthy – potrzebna jest pewna doza talentu. Ale sam talent nie wystarcza. To, co jest najbardziej potrzebne, to napęd, skupienie się na pracy, a potem ciężka praca. I ze średnim talentem można stać się artystą. Trzeba jednak kochać swoją pracę oraz zaakceptować trudności i walkę.
Jako autorka książek, opartych o własną biografię, początkowo oczarowała czytelników szczerymi opowieściami młodej artystki wyrastającej w Toronto. Kolejne książki stopniowo przynosiły coraz większy bagaż doświadczeń i życiowych spostrzeżeń. Nie na próżno tytuł jej ostatniej książki brzmi – „Doris McCarthy – mądrość 90 lat".
A co było napędem twórczym dla Doris? Zapewne przyroda, kontakt z naturą. Przez całe życie poszukiwała natchnienia w przyrodzie, a podróże stały się jej pasją. W pierwszą podróż wyruszyła w lipcu 1937 roku. Wtedy zwiedziła zachodnią część Kanady. Potem były dalsze wyprawy. Podczas pierwszego „sabbatical" w latach 1950-51 przez 14 miesięcy przebywała w Europie, zwiedziła Włochy, Hiszpanię, Francję, Anglię. Drugi okres przerwy przypadł jej w 1961 roku. Wyruszyła wtedy na samotną roczną turę po takich krajach jak Japonia, Hong-Kong, Nowa Zelandia, Singapur, Tajlandia, Kambodża, Indie,

Afganistan, Iran, Irak, Turcja, Grecja, Egipt i Izrael. Zawsze w podróży Doris malowała, głównie krajobraz. Ale także fotografowała. Jako nauczycielka historii sztuki, utrwalała wiele wspaniałości tego świata dla swoich studentów. W latach 50. i 60. było to bardzo ważne, gdyż studenci nie posiadali wówczas do dyspozycji tak różnorodnych albumów, które są obecne dzisiaj. Mówiło się o niej, że poznawała i utrwalała różne kierunki w sztuce (różne „-izmy”), które pojawiały się w tym czasie na świecie. Zawsze chciała pokazywać uczniom to, co aktualnie działo się w sztuce. Jako malarka krajobrazów, namalowała każdą prowincję i terytorium Kanady. A najbardziej ukochana była dla niej daleka północ, widoki gór lodowych w pełnym słońcu, najrozmaitsze odcienie i barwy śniegu, tajemnicze półcienie bieli. Doris McCarthy zawsze twierdziła, że nie chce być modną malarką. Chciała być dobrą malarką, dobrą na jej własnym polu, którym był krajobraz. Może dlatego tak potrzebny był jej dom z malowniczym, inspirującym i niesamowitym widokiem z góry na otwartą przestrzeń Jeziora Ontario. I dlatego tak o niego walczyła, wbrew opiniom innych i finansowym realiom.

Jacek Gwizdka, Joanna Sokołowska-Gwizdka i Doris McCarthy

„Raj dla Głupca” od 67 lat jest jej domem, studiem i inspiracją oraz wspaniałym miejscem pracy, wypoczynku i spotkań z ludźmi. Ta 2,5 akrowa posesja otoczona dolinkami, położona wzdłuż łańcucha widowiskowych klifów Scarborough, łącząca cechy naturalne i kulturalne, jest unikalnym miejscem dziedzictwa narodowego Ontario.

Doris kupiła kawałek nieużytków nad jeziorem w 1939 roku za 1250 dolarów. Jej matka uważała to za wielką ekstrawagancję. Młoda nauczycielka sztuki, ma kupować „łąkę pastewną na klifach” za więcej niż wynosiła jej ówczesna roczna pensja? Nie do pomyślenia. To jest jedynie „raj dla głupca”. I tak już pozostało.

Jednak historia tego miejsca, poczucie odległego czasu, który ukształtował teren i jego piękno, wielokrotnie inspirowało malarkę i pisarkę. Jak głosi tabliczka przed wejściem na teren „Raju dla Głupca”: „posesja ta mieści się na ekologicznie wrażliwym i znaczącym geologicznie terenie klifów Sacarborough, które posiadają osiadłości po lodowcach, sprzed ponad 70 tys. lat, pochodzące z końca epoki pleistocenu. Być

może już 8 tys. lat p.n.e. mieszkali tu Aborygeni". Kolejna informacja o tych terenach pochodzi dopiero z XIX w. Wiadomo, że w 1833 roku osiedlił się tu i założył farmę szkocki emigrant James McCowan i że nazwał to miejsce „Springbank" – „Brzeg źródeł", ze względu źródła, które przebiegały od starej linii brzegowej jeziora Irokezów, położonego na północy. Doris Mac Carthy kupiła najbardziej wysuniętą na wschód część „Springbank". Posesja McCowana miała 35 akrów, a jej część – 2,5 akra.

Tablica opisująca historię Raju dla Głupca

Pierwszy budynek na terenie posesji Doris, został wzniesiony w 1940 roku. „Raj dla Głupca" służył na początku jako tylko miejsce weekendowych wypadów. Ale od 1946 roku, kiedy Doris przeprowadziła się tam na stałe, stał jej domem i studiem artystycznym. Z czasem zakątek ten się rozbudował i wypiękniał. Tylko niedoścignione widoki na Jezioro Ontario, zmieniające się o każdej porze dnia i roku, ciągle są te same.
W 1999 roku Doris McCarthy przekazała „Raj dla Głupca" wraz z 500 tys. dolarów na jego utrzymanie Ontario Heritage

Foundation. Artystka będzie tam mieszkać, dopóki będzie żyć, ale posesją zarządza już Fundacja, a w przyszłości stanie się ono miejscem spotkań dla artystów wszelkich dziedzin oraz miejscem działalności związanych z dziedzictwem Ontario. Doris McCarthy ma jeszcze jedno studio nad Georgan Bay. W 1959 roku wraz z innym artystą kupiła dwa cottage. Spędza tam miesiące letnie.
Doris McCarthy zjednuje sobie ludzi ciepłem i zrozumieniem, które z niej emanuje. Przyjaźń z artystką utrwaliła na taśmie filmowej Wandy Wacko, mieszkająca wówczas w Jasper w Albercie, była studentka, z którą się spotkały po latach w 1977 roku. Film dokumentalny z 1983 roku pod znamiennym tytułem „Doris – serce malarki", zjednał sobie szeroki krąg odbiorców. – Jako towarzysz podróży – wspominała artystkę Wandy Wacko – Doris zawsze nadawała szybkie tempo i zawsze z pasją patrzyła na przód, do kolejnej kartki. Jest niezwykle szczodrą nauczycielką, zawsze chętnie dzieliła się wszystkim co miała, co umiała i wiedziała: polityką, religią itd.

Obraz Doris McCarthy

Niezwykła kariera Doris McCarthy obejmuje więcej niż 70 lat

kanadyjskiej historii sztuki. Obrazy i sztuka liturgiczna jest podziwiana w wielu galeriach i muzeach. Na każde otwarcie jej wystawy przychodzi zwykle od 700 do 900 osób. Doris była też pierwszą kobietą prezydentem OSA (Ontario Society of Arts), prezydentem Kanadyjskiego Związku Malarzy Akwarelą i członkiem Królewskiej Akademii Sztuki (Royal Canadian Academy of Arts). Wykształciła wielu wybitnych artystów i wciąż jest mentorem dla wielu uznanych twórców, a także dla młodego pokolenia. Jest kluczową postacią na scenie artystycznej kraju od lat 20. Jej wkład w główne kierunki rozwoju sztuki XX wieku jest niezaprzeczalny. Wychowała też kilka pokoleń artystów.
Została wielokrotnie nagrodzona. W 1983 roku ogłoszono ją kanadyjską kobietą roku, a w 1886 roku dostała Order of Canada za wkład w społeczność artystyczną Kanady. Otrzymała też 5 honorowych doktoratów i honorowe członkostwo Ontario College of Art and Design. W listopadzie 1999 została pierwszą honorową artystką McMichael Canadian Collection of Art, a 11 marca 2004 UofT Scarborough Campus otworzyło Galerię Doris McCarthy, która pokazuje ponad 300 współczesnych prac artystki (w tym kilka prac podarowanych galerii).

Patrząc na obrazy Doris McCarthy, nasuwa się skojarzenie, że Kanada jest bardzo pięknym krajem, bogatym w swoją naturalność, ciągle do końca nie odkrytym, z wieloma plenerami, zakątkami, terenami o różnych klimatach, z nie zniszczoną przez człowieka przyrodą. Patrząc na obrazy artystki, chciałoby się

podążać jej śladem.

Doris McCarthy zmarła 26 listopada 2010 r. w wieku 100 lat w Toronto.

Książki:
Doris McCarthy: „A Fool in Paradise, an Artist Early Life” (Toronto 1990), „The Good Wine” (Toronto 1991), „Ninety Years Wise” (Toronto 2004).
www.dorismccarthy.com

Artykuł opublikowany w „Gazecie” w Toronto, 5 grudnia 2015 r.